

Konsekwencją nauki języków powinna być ich znajomość, zwłaszcza ta praktyczna i praktykowana. Dlatego nadal zajmując się naszymi tytułowymi językami obcymi w szkole, zapraszamy do lektury i współtworzenia nowego działu naszego czasopisma: *Języki obce po szkole*, czyli po prostu w życiu. Kiedy i jak używamy poznanych języków? Co nam zostaje ze szkolnej (i nie tylko) edukacji językowej? Co się przydało i przydaje (albo i nie)? Czego nie było warto się uczyć i dlaczego? Jakie sposoby nauki okazały się skuteczne? Komu i czemu zawdzięczamy swoje sukcesy językowe? Jak znajomość języków wpłynęła na nasze życie prywatne i zawodowe? – to zaledwie garść pytań zachęcających do refleksji. Zapraszamy do przeczytania kolejnego inspirującego tekstu o językach obcych po szkole!

Z językami przez życie

URSZULA SOLER

Języki fascynowały mnie od dzieciństwa. Już wtedy podświadomie wiedziałam, że są ważne. Może wynikało to z tego, że mieszkałam w Białymstoku – mieście styku kultur, religii i języków?

W klasie miałam prawosławnych kolegów, sąsiedzi mówili po „rusku”, a na jednym z domów widywałam arabskie napisy. Na półce stały książki do nauki esperanto. Czasami odwiedzał nas przyjaciel rodziców – emigrant, który pracował w Stanach Zjednoczonych. Przywoził banany (których szczerze nienawidziłam) i dolary (te można było wymienić na gumy do żucia w „Peweksie”) oraz mówił z „dziwnym”, przesadnym akcentem. Języki otaczały mnie więc z każdej strony i wydawało mi się naturalne, że trzeba je znać.

Niestety, schyłek komunizmu i początek wolnej Polski nie sprzyjały nauce języków. Na prywatnych lekcjach angielskiego rysowaliśmy obrazki i podpisywaliśmy je po polsku lub, gdy było ciepło, graliśmy w piłkę w pobliskim lasku. W szkole podstawowej nauczyciele zmieniali się jak w kalejdoskopie i każdy kolejny uczył nas tego samego – podstaw gramatyki. Do tej pory nie wiem, czy sami umieli komunikować się po angielsku. Z kolei rosyjski ze szkoły wycofano i, ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, nie zebrała się grupa chętnych na kółko z tego języka.

Liceum powitało mnie nową językową nadzieją i miłością – niemieckim. Niestety, miłość ta była całkowicie nieodwzajemniona. Niemiecki zaskoczył mnie skomplikowaną gramatyką i „twardym”, trudnym dla ucha brzmieniem, a nauczyciele także i tym razem często się zmieniali. Z niemieckim rozstałam się wraz z końcem szkoły średniej. Nigdy więcej już do siebie nie wróciliśmy.

Pomimo językowych niepowodzeń wybrałam studia filologiczne – z języka polskiego, dobrze mi znanego i przyjaznego. Zawsze bardzo dużo czytałam, więc naturalne wydało mi się pogłębianie tej czytelniczej pasji na studiach wyższych. Przyniosły one ze sobą (oprócz niekończącej się, ale fascynującej listy lektur i przytłaczającej mnie ilości gramatyki) dwa nowe języki – łacinę i starocerkiewnosłowiański. Niestety – oba martwe. Odkrycie tego, że języki mogą służyć czytaniu, ale nie komunikacji werbalnej, było dla mnie doświadczeniem nie tylko zaskakującym, lecz także i trudnym. Świadomość tego, że prawdopodobnie nie użyję ich nigdzie poza uniwersytetem, nie sprzyjała ich nauce. Później okazało się, że do łaciny sięgnę wielokrotnie, pogłębiając wiedzę na innych polach, m.in. podczas nauki języka włoskiego.

Włoski podobał mi się chyba zawsze. Nie wiem, gdzie usłyszałam go po raz pierwszy. Ujął mnie swoją melodyjnością, łatwością przekazu i krzykliwością. Był zupełnie inny od tych języków, z którymi miałam kontakt wcześniej. Niestety na żadnym etapie edukacji nie miałam możliwości obcowania z włoskim. Uczyłam się go więc sama, wkładając kasety z kursem języka włoskiego do mojego walkmana i cierpliwie powtarzając słyszane frazy. Pod koniec studiów udało mi się dostać, jako wolny słuchacz, na lektorat prowadzony przez rodowitego Włocha. I choć rozumiałam niewiele, to miłość do tego języka rozkwitła w pełni. Wiedziałam, że kiedyś będę mówiła po włosku, że to w jakiś sposób jest mój język. Po kilku latach wyjechałam na stypendium badawcze do Mediolanu. Zapisalam się na kurs językowy na uniwersytecie, a ponieważ włoskiego uczyłam się już sama, uważałam, że świetnie sobie poradzę na poziomie średnio zaawansowanym. Okazało się jednak, że nie jest to takie proste. Co prawda trochę znałam gramatykę, bo tego byłam w stanie się nauczyć, ale rozumiałam niewiele. A przecież o komunikację przez te wszystkie lata mi chodziło! Chciałam mówić, myśleć i czuć w obcym języku. Zaczęłam więc uczyć się na wykłady socjologiczne dla studentów włoskich, by tam osłuchiwać się z językiem. To był strzał w dziesiątkę! Byłam już wtedy socjologiem, więc dobrze znałam język naukowy tej dyscypliny. I tu łacina po raz kolejny puściła do mnie oko: socjologia, wykładana zarówno po polsku, jak i po włosku, korzysta z tej samej, łacińskiej terminologii. Znając ją, mogłam zrozumieć kontekst wypowiedzi wykładawców. Miałam wrażenie, że czasami wykłady rozumiałam lepiej niż studenci włoscy. Niedługo potem dostałam kolejną, bardzo istotną pomoc językową. Zaangażowano mnie do pracy przy projekcie naukowym. Moim zadaniem było wyszukiwanie w prasie włoskiej informacji na interesujący nas temat. Ze słownikiem w ręku siedziałam godzinami przed komputerem i płakałam z bezsilności. Tak dobrej i zarazem tak trudnej szkoły językowej nie miałam nigdy wcześniej i nigdy później. I – dodajmy – tak skutecznej. Włoski bardzo szybko stał się moim drugim językiem, wypierając angielski na trzecie miejsce. Uczyłam się, czytając książki, pracując i rozmawiając z ludźmi na ulicy. Nigdy więcej nie wróciłam na kurs językowy, więc nie do końca wiem, na ile mój język jest poprawny gramatycznie, tym bardziej że sami Włosi popełniają wiele błędów, a to przecież od nich uczyłam się języka. Sytuacji nie poprawiają naleciałości dialektalne, których we Włoszech jest prawie tyle, ilu Włochów. Czy więc mówię dobrze po włosku? Tego nie wiedzą sami Włosi, najczęściej przypuszczając, że pochodzę z Mediolanu.

W życiu codziennym i w pracy zawodowej używam więc trzech języków – polskiego, włoskiego i angielskiego. Ciągły kontakt z nimi sprawia, że ich używanie stało

się naturalne – czasami zapominam, że dwa z nich są „obce”. A w sytuacjach wielojęzycznych zdarza mi się mówić do Włocha po polsku, do Polaka po angielsku, a do reprezentantów innych narodowości – po włosku. Zaskakuje mnie wtedy wyraz niezrozumienia na twarzach moich interlokutorów, bo przecież języka użyłam właściwie. Tylko mówiąc nie do właściwej osoby...

Ale na tych doświadczeniach nie kończy się moja przygoda z językami. Pięć lat temu urodził się mój syn, od pierwszych dni swego życia wrzucony w rzeczywistość dwujęzyczną – polską i włoską. I nie wiem, czy to ta sytuacja, czy też wrodzone zdolności sprawiły, że języki są dla niego czymś zupełnie naturalnym, choć wymagającym czasu. Bardzo długo czekałam na to, by po raz pierwszy usłyszeć najpiękniejsze słowo – „mama”. Zanim mój syn skończył dwa i pół roku, w ogóle nie mówił, komunikował się za to doskonale niewerbalnie. Jednak gdy już mówić zaczął, to od razu w dwóch językach (polskim i włoskim) i od razu prostymi zdaniami. Bardzo szybko okazało się też, że dość dobrze rozumie angielski i rosyjski, a to za sprawą obcojęzycznych niań, które się nim opiekowały, i dzięki bajkom na YouTube. Jako pięcioletek jest całkowicie dwujęzyczny – z polskiego na włoski przechodzi płynnie, bez żadnego problemu. Co ciekawe – zawsze bardzo zwraca uwagę na to, do osoby jakiej narodowości mówi: do Polaków nie chce zwracać się po włosku, a do Włochów po polsku, nawet jeśli dany język zna i w tym języku coś do niego powiedzieli. Zaczyna też mówić po angielsku i na życzenie tłumaczy anglojęzyczne bajki na włoski lub polski. Ciągła jest także jego miłość do rosyjskiego, która rozpoczęła się, gdy miał niespełna dwa lata. Te jego językowe pasje i zdolności obserwuję z wielkim zainteresowaniem i troską. Czy to nie za dużo na tak niewielkiego człowieka, czy mu się w głowie te języki nie pomieszają? Straszą mnie tym jego wychowawcy i pełni dobrych rad nieznajomi. Intuicyjnie jednak wiem, że moje dziecko czerpie z otoczenia to, czego naprawdę potrzebuje, a jego naturalnemu rozwojowi językowemu nie należy przeszkadzać. W sumie wygląda więc na to, że moja językowa przygoda tak naprawdę dopiero się rozpoczęła...

DR HAB. URSZULA SOLER Absolwentka polonistyki i socjologii. Adiunkt w Instytucie Nauk Socjologicznych KUL. Bada nowe technologie w kontekście interakcji społecznych i bezpieczeństwa. Specjalizuje się w zagadnieniach bezpieczeństwa żywnościowego i edukacyjnego oraz wartościowania technologii. Jest członkiem-założycielem Polskiego Towarzystwa Oceny Technologii, założycielką Legii Akademickiej oraz członkiem m.in. European Communication Research and Education Association w Belgii, Center for Anthropology of Religion and Cultural Change (ARC) w Mediolanie oraz Centrum Badań Ewaluacyjnych i Progностycznych Akademii Leona Koźmińskiego. Od wielu lat współpracuje z Università Cattolica del Sacro Cuore w Mediolanie.